

Cykl SIGMA FORCE

# JAMES ROLLINS



SIÓDMA  
PLAGA



Wiosna, 1324 r. p.n.e.  
Pustynia Nubijska, południowy Egipt

Najwyższa kapłanka klęczała naga na piasku. Wiedziała, że nadszedł czas. Znaki stawały się coraz wyraźniejsze, liczniejsze i coraz bardziej złowróżbne. Na zachodzie burza piaskowa pięła się ku słońcu, trzaskając błyskawicami i obracając błękitne niebo w pylistą ciemność.

Wróg prawie do nich dotarł.

Przygotowując się, Saba zgołiła wszystkie włosy, nawet brwi nad umalowanymi oczami. Wykąpała się w wodach dwóch rzek, które płynęły na północ z głębi pustyni i łączyły się w tej świętej konfluencji, by utworzyć potężną rzekę, przez starożytnych królów *heqa chaset* zwaną Nahal. Wyobraziła sobie jej kręty bieg, gdy płynęła obok Luksoru, Teb i Memfis w drodze do wielkiego błękitnego morza za żyzną deltą.

Nigdy nie widziała tamtych stron, ale słyszała opowieści.

*O naszym starym domu, o miejscu zielonych pól i palm i o życiu rządzonym przez regularne wylewy Nahalu...*

Lud Saby porzucił tamte ziemie przed ponad stu laty, uciekając przed plagami, głodem i śmiercią, ścigany przez już od dawna niezjącego faraona. Większość innych plemion zamieszkujących deltę szukała schronienia na wschodnich pustyniach, podbijając tamtejsze

ziemie i tworząc własne królestwo – ale plemię Saby zasiedliło tereny leżące dalej na południe wzdłuż rzeki, w pobliżu wioski Dżeba w Thes-Hor, drugiej nomie Górnego Egiptu zwanej Tronem Horusa.

W czasie ciemności i śmierci jej plemię przeniosło się poza zasięg egipskiego królestwa, na Pustynię Nubijską. Byli ludem uczonych i skrybów, kapłanów i kapłanek, strażnikami wielkiej wiedzy. Uciekli na pustkowie Nubii, żeby chronić tę wiedzę podczas burzliwych czasów, które nastąpiły po plagach, kiedy Egipt został najechany i opanowany przez cudzoziemców ze wschodu, dzikich ludzi z szybszymi rydwanami i silniejszą bronią z brązu, podbijających osłabione egipskie miasta ledwie jedną wypuszczoną strzałą.

Ale mroczny czas dobiegał końca.

Egipt powstawał; wypędził najeźdźców, zbudował pomniki swoich licznych zwycięstw i przesunął granicę w kierunku Nubii.

– *Hemet neczer* – szepnął za nią młody mężczyzna o imieniu Tabor, wyczuwając jej rozpacz albo tylko próbując jej przypomnieć o roli *hemet neczer*, boskiej dziewicy. – Musimy już iść.

Zrozumiała i wstała z klęczek.

Tabor spoglądał na szalejącą na zachodzie burzę, która wyraźnie była źródłem jego zmartwienia. Saba popatrzyła na północ i zauważyła smużkę dymu, oznaczającą zniszczenie miasta leżącego przy piątej katarakcie Nahalu – najnowszego podboju egipskiej armii. Wkrótce te same siły dotrą tutaj.

Zanim to się stanie, Saba wraz z innymi ze swojej kasty musi ukryć to, co chronili od ponad wieku, cud niepodobny do innych: błogosławiony przez boga lek ukryty w sercu kłatwy.

Widząc, jak Egipcjanie, zajmując miasto po mieście, prą na północ i zagarniają tereny leżące wzdłuż rzeki, już tysiąc dni temu podjęli przygotowania polegające głównie na aktach oczyszczania się przed ostatecznym przeobrażeniem w nieśmiertelne naczynia bożego błogosławieństwa.

Saba, poprowadziwszy wielu swoich braci i sióstr na obronę ścieżkę, jako ostatnia miała przejść przemianę. Jak oni, rok temu wy-



rzekła się prosa i wszelkich innych zbóż; jadła tylko orzechy, jagody i korę drzew i piła napar z żywicy dostarczonej tu z obcych krajów. Z biegiem czasu wychudła jak szkielet, miała ziemistą cerę, jej piersi i pośladki pomarszczyły się i obwisły. Choć miała tylko trzydzieści lat, potrzebowała silnych pleców i ramion Tabora, żeby pomógł jej wstać, a nawet włożyć płócienną szatę.

Gdy odchodzili od zbiegu rzek, Saba patrzyła, jak burza piaskowa niepowstrzymanie sunie w ich stronę, przesywana błyskawicami zrodzonymi w kłębiącej się chmurze pyłu. Czuła energię płynącą przez pustynię. Wyczuwała ją węchem w powietrzu; czuła, jak porusza włoskami na jej ramionach. Z wolą boską te same piaski pomogą ukryć ich dzieło, pogrzebią je pod naniesionymi przez wiatr wydrami.

Ale najpierw Saba i jej towarzysze muszą dotrzeć do dalekich wzgórz.

Skupiła się na stawianiu jednej stopy przed drugą. Obawiała się, że za długo zwlekała przy rzece. Zanim dotarli do głębokiego wąwozu pomiędzy dwoma wzgórzami, burza ich dopędziła, wyjąc i szorując palącym piaskiem nieosłoniętą skórę.

– Szybciej, pani – ponaglał Tabor, niemal ją niosąc.

Palce stóp Saby muskały ziemię, wypisując nieczytelne błagalne hieroglify.

Nie wolno mi upaść...

Zniknęli w ciemnym wejściu i pospieszyli na dół długim, stromym korytarzem do cudu wyciętego w piaskowcu. Pochodnie oświetlały drogę, cienie tańczyły w ich blasku. Światło powoli ujawniało ukryte dzieło rzemieślników i uczonych, którzy ręka w rękę pracowali od ponad siedmiu dziesięcioleci.

Tabor pomógł jej przejść nad kamiennymi zębami i po języku wyrzeźbionym z nadzwyczajną dbałością o szczegóły. Komora przed nimi dzieliła się na dwa tunele: jeden prowadził w dół, w kierunku kamiennego brzucha, a drugi, z małymi półkolistymi wypukłościami, do ogromnej klatki piersiowej.

W wielkim pośpiechu obrali tę drugą trasę.



Wspierana przez Tabora Saba, idąc, wyobrażała sobie podziemny kompleks rozciągający się głęboko pod tymi wzgórzami. Nadano mu formę leżącej postaci. Rzeźba nie miała zewnętrznej strony – wewnątrz pieczołowicie wycięto z piaskowca wszystkie wewnętrzne narządy ludzkiego ciała, od wątroby i nerek po pęcherz i mózg.

Pod wzgórzami kasta Saby stworzyła swojego kamiennego boga, dość dużego, żeby urządzić w nim dom i użyć jego ciała jako naczynia do zachowania tego, co musiało być chronione.

Teraz ja muszę uczynić z mojego ciała świątynię wielkiego boskiego błogosławieństwa, pomyślała.

Tabor zaprowadził ją do miejsca, gdzie żebrowany korytarz rozdzielał się na dwa mniejsze tunele, jak tchawica w jej piersi. Gdy skręcili w lewo, lekko się pochylili, żeby nie uderzać głowami o rzeźbiony strop. Nie musieli jednak iść daleko.

Światło pochodni przed nimi pojaśniało, kiedy tunel doprowadził ich do rozległej komory o stropie wspartym na kamiennych żebrach, które sięgały w górę do potężnego kręgosłupa. Pośrodku komory spoczywało kamienne serce, cztery razy wyższe od niej, oddane w idealnej symetrii, z wachlarzem wielkich wyrzeźbionych naczyń krwionośnych.

Spojrzała na garstkę nubijskich sług czekających na nią na klęczkach, a potem na kolumnadę wykutych w skale kamiennych żeber. Pomiędzy nimi znajdowały się zamurwane ceglami nisze. Były to groby jej braci i sióstr, którzy odeszli w przyszłość przed nią. Wyobraziła sobie, jak siedzą albo na wpół leżą na krzesłach, podczas gdy ich ciała powoli kończą akt przeobrażenia, stając się naczyniami błogosławieństwa.

Jestem ostatnia... wybrana dziewczica Boga.

Odwróciła się ku kamiennemu sercu. Małe wejście prowadziło do jednej z komór, nadzwyczaj zaszczytnego miejsca.

Uwolniła się z ramion Tabora i zrobiła kilka kroków, o własnych siłach podchodząc do otworu. Nisko spuściła głowę i weszła do środka. Wyprostowała się i namacała zimną skałę. Wewnątrz czekał na

nią srebrny tron; kiedy usiadła, poczuła, że też jest zimny. Z boku stała miska wyrzeźbiona z lapis-lazuli, aż po posrebrzany brzeg wypełniona wodą. Saba podniosła ją i postawiła na udach.

Tabor pochylił się w stronę otworu, zbyt zbolaty, żeby przemówić, ale z łatwością odczytała wyraz jego twarzy, pełnej żalu, nadziei i strachu. Takie same emocje wezbrały w jej piersi – wraz z niemałymi wątpliwościami. Mimo to skinęła głową.

– Niechaj się dokona.

Po jego twarzy widać było, że Tabor toczy ze sobą bitwę, lecz odpowiedział skinieniem głowy i ukłonem.

Podeszli inni słudzy, żeby zamurować wejście cegłami z mułu i trawy. Zapadała ciemność, ale w resztkach światła pochodni spozrzała na misę i dostrzegła ciemny połysk. Woda miała głęboki szkarłatny kolor. Wiedziała, co trzyma w dłoniach. Misa zawierała wodę z Nahalu zaczerpniętą w czasach, kiedy rzeka została przeklęta i spływała krwią. Kasta Saby przechowywała tę pochodzącą sprzed wieków przeklętą wodę – wraz z zawartym w niej błogosławieństwem.

Gdy położono ostatnią cegłę, nagle zaschło jej w gardle. Słuchała, jak słudzy pokrywają cegły warstwą mułu. Słyszała też chrobot drewna piętrzonego wokół kamiennego serca.

Zamknęła oczy, wiedząc, co zaraz nastąpi.

W wyobraźni ujrzała pochodnie zapalające drewno.

Powoli nadeszło potwierdzenie – kamień pod stopami Saby się rozgrzał. Wkrótce powietrze w sercu – już i tak duszne – zrobiło się gorące. Wilgoć wyschła do ostatniej kropli, uciekając kominem wyrzeźbionych naczyń krwionośnych. Po chwili Saba odniosła wrażenie, że oddycha gorącym piaskiem. Syknęła, gdy kamień sparzył podeszwy jej stóp. Nawet srebrny tron był gorący jak krawędź grzbietu wydmy w letnim słońcu.

A jednak siedziała w milczeniu. Ci na zewnątrz z pewnością już wychodzili z podziemnego świata, szczelnie zamykając drogę za sobą. Opuszczą te tereny pod osłoną burzy, znikną na zawsze, a pustynia zatrze wszelkie dowody istnienia tego miejsca.

Gdy Saba czekała na swój koniec, łzy płynęły jej z oczu i wysychały na policzkach. Świadoma, co ją czeka, szlochała z bólu, rozchylając spękane usta. Nagle ciemność rozproszył łagodny blask. Bił z miski spoczywającej na jej kolanach; wirował w szkarłatnej wodzie, delikatnie migocząc.

Pomyślała, że może to przywidzenie spowodowane bólem, ale znalazła pociechę w tym blasku. Dał jej siłę do wypełnienia ostatniego aktu.

Podniosła misę do ust i zaczęła łapczywie pić. Życiodajna woda spłynęła w głąb jej spieczonego gardła i wypełniła skurczony żołądek.

Gdy Saba opuściła pustą misę, żar wewnątrz kamiennego serca stał się nie do zniesienia. Cierpiała katusze, a jednak się uśmiechała, wiedząc, czym się stała.

Jestem twoim naczyniem, Panie... teraz i na wieki.



Nowy Jork, Stany Zjednoczone

2 marca 1895 r., godzina 21.34 czasu miejscowego

To mi się bardziej podoba...

Mając cel na oku, Samuel Clemens – bardziej znany pod pseudonimem literackim Mark Twain – prowadził opierającego się towarzysza przez park Gramercy. Światła gazowe przed nimi przyzywały ich na drugą stronę ulicy, oświetlając kolumny, portyk i żelazne balustrady Players Club. Obaj byli członkami tego ekskluzywnego przybytku.

Przyciągany obietnicą śmiechu, humoru i dobrego towarzystwa, Twain przyspieszył; stawiał długie zdecydowane kroki, wlokąc za sobą chmurę dymu z cygara w rześkim nocnym powietrzu.

– Co ty na to, Nikola?! – zawołał przez ramię do swojego towarzysza. – Wedle mojego zegarka i żołądka, w Players jeszcze podają kolację. A jeśli nawet nie, odrobina brandy będzie się komponować z moim cygarem.

Młodszy prawie o dwadzieścia lat, wąsaty Nikola Tesla był w znoszonym garniturze z marynarką wyświechtaną na łokciach. Rozglądając się, co chwilę odgarniał z czoła ciemne włosy. Kiedy był podenerwowany, jak teraz, mówił z wyraźnym serbskim akcentem.

– Samuelu, mój drogi, jest późno, a ja jeszcze nie skończyłem pracy w laboratorium. Jestem ci wdzięczny za bilety do teatru, ale powinienem już iść.

– Bzdura! Nadmiar pracy robi z człowieka nudziarza.  
– W takim razie ty musisz być nad wyraz ekscytujący... bo wiedziesz skrajnie próżniacze życie.

Twain obejrzał się i fuknął.

– Może tego nie wiesz, ale pracuję nad następną książką – oznajmił.

– Niech zgadnę. – Nikola uśmiechnął się krzywo. – Huck Finn i Tom Sawyer pakują się w kolejne tarapaty.

– Gdyby tylko te huncwoty chciały! – Twain roześmiał się, przyciągając spojrzenie jakiegoś przechodnia. – Wtedy może mógłbym spłacić wierzycieli.

Starał się trzymać w tajemnicy fakt, że w ubiegłym roku ogłosił bankructwo i przekazał wszystkie prawa autorskie do swoich książek żonie, Olivii. Planował wyruszyć na roczne tournée z odczytami po Stanach i Europie, żeby spłacić długi.

Wzmianka o pieniądzach zepsuła nastrój. Pluł sobie w brodę, że wspomniiał o finansach. Wiedział, że Nikola ma podobne problemy, mimo że był prawdziwym geniuszem, człowiekiem wszechstronnie utalentowanym, wynalazcą, inżynierem elektrykiem i fizykiem. Twain spędził wiele popołudni w jego laboratorium przy Piątej Alei i szybko zostali przyjaciółmi.

– No, może na jednego drinka – ustąpił z westchnieniem Nikola.

Ruszyli przez ulicę w kierunku portyku pod syczącymi lampami gazowymi. Zanim dotarli do wejścia, ktoś wyłonił się z cieni i zaszedł im drogę.

– Dzięki Bogu! – krzyknął. – Portier powiedział, że może przyjdiesz.

Twain, przez chwilę zaskoczony, w końcu rozpoznał mężczyznę. Zdziwiony i uradowany, poklepał po ramieniu starego przyjaciela.

– Miło cię widzieć, Stanley! Co tu porabiasz? Myślałem, że wciąż jesteś w Anglii.

– Wróciłem wczoraj.

– Cudownie! Zatem uczcijmy twój powrót zza Atlantyku, wychylając jedną czy dwie szklaneczki. Może nawet trzy.

Twain chciał pociągnąć ze sobą obu mężczyzn, ale Stanley zatrzymał go przed progiem.

– Jak rozumiem – zaczął – masz dojscie do Thomasa Edisona.

– Ch... Chyba tak – odparł z wahaniem Twain, doskonale wiedząc o głęboko zakorzenionym konflikcie pomiędzy Edisonem i Nikołą Teslą.

– Mam pilną sprawę do przedyskutowania z wynalazcą i chcę mu coś pokazać. To zadanie zleczone mi przez Koronę.

– Naprawdę? Brzmisz bardzo tajemniczo!

– Może mógłbym pomóc – zaproponował Nikola.

Ponieważ on i Stanley się nie znali, Twain przedstawił ich sobie.

– Nikola, to Henry Morton Stanley, niebawem, jeśli pogłoska się sprawdzi, sir Stanley, sławny nie tylko jako badacz, ale również wychwalany za odnalezienie Davida Livingstone'a, podróżnika zaginionego w sercu Czarnej Afryki.

– Ach... – mruknął Nikola. – Teraz sobie przypominam, zwłaszcza słowa, jakimi pan go powitał: „Doktor Livingstone, jak mniemam?”.

Stanley jęknął.

– Nigdy tak nie powiedziałem.

Twain z uśmiechem obrócił się w stronę drugiego przyjaciela.

– A to Nikola Tesla, taki sam geniusz jak Edison, a może nawet większy.

Stanley szeroko otworzył oczy.

– Oczywiście, powinienem pana rozpoznać.

Błede policzki Nikoli lekko poróżowiały.

– Więc – zaczął Twain – jaką to ważną misję zleciła ci Korona Brytyjska?

Henry Morton Stanley wilgotną dłonią przegarnął rzadniejące siwe włosy.

– Jak wiesz, Livingstone zaginął w Afryce, szukając źródeł Nilu. Sam ich kiedyś szukałem.

– Tak, podobnie jak wielu innych Brytyjczyków. Najwyraźniej dla was wszystkich to cel dorównujący znalezieniu Świętego Graala.



Stanley zmarszczył brwi, lecz nie zaprzeczył.

Twain przypuszczał, że przyczyną tych poszukiwań była nie tyle ciekawość, ile brytyjskie ambicje kolonialne w Afryce, ale nie powiedział tego głośno, z obawy że może odstraszyć przyjaciela, zanim ten powie coś więcej o swojej tajemniczej misji.

– Skąd zainteresowanie Korony Brytyjskiej źródłami Nilu? – spytał.

Stanley przyciągnął go bliżej i wyjął z kieszeni niewielki przedmiot. Była to szklana fiolka zawierająca ciemną ciecz.

– Niedawno znaleziono to wśród rzeczy pozostałych w posiadłości Davida Livingstone’a. Doktor uratował chorego syna nubijskiego wojownika, a ten w podzięce ofiarował mu starożytny amulet, zapieczętowane woskiem naczynko z wyrzeźbionymi hieroglifami. Ta fiolka zawiera próbkę znalezionej w talizmanie wody, która, jak twierdził wojownik, pochodzi z samego Nilu.

Twain wzruszył ramionami.

– Dlaczego to takie ważne?

Stanley odsunął się i podniósł fiolkę ku światłu latarni. W migotliwym blasku płyn jarzył się głębokim szkarłatem.

– Z zapisków Livingstone’a wynika, że woda pochodzi sprzed tysięcy lat. Podobno zaczerpnięto ją ze starożytnego Nilu, kiedy woda w rzece przemieniła się w krew.

– Przemieniła się w krew? – powtórzył Nikola. – Jak w Starym Testamencie?

Twain uśmiechnął się, podejrzewając, że Stanley, który dobrze wiedział o jego pogardzie dla religii, stroi z niego żarty. Mieli za sobą wiele gorących dyskusji na ten temat.

– Twierdzisz, że to pamiątka po biblijnej pladze, pierwszej z dziesięciu, które Mojżesz zesłał na Egipcjan?

Wyraz twarzy Stanleya wcale się nie zmienił.

– Wiem, jak to brzmi – powiedział.

– To niemożliwe...

– Nie żyje dwudziestu dwóch członków Królewskiego Towa-

rzystwa Geograficznego. Zmarli, kiedy po raz pierwszy otworzono nubijski talizman i badano jego zawartość w laboratorium.

Zapadła pełna oszołomienia chwila ciszy.

– Jak zmarli? – zapytał w końcu Nikola. – To trucizna?

Stanley pobladł. Człowiek, który nieustraszenie stawiał czoło najgroźniejszym bestiom, wysysającej siły gorączce i dzikim kanibalom, teraz wyglądał na przerażonego.

– Nie trucizna.

– Zatem co? – dociekał Twain.

– Klątwa. Plaga z zamierzchłej przeszłości – odparł ze śmiertelną powagą Stanley, zaciskając fioletową w dłoni. – Pozostałość po starożytnym gniewie, jaki Bóg wylał na Egipcjan... Ale to dopiero początek, jeśli nie powstrzymamy tego, co nadchodzi.

– Co można zrobić? – zapytał Twain.

Stanley zwrócił się do Nikoli:

– Musi pan popłynąć do Anglii.

– Po co? – chciał wiedzieć Twain.

– Żeby powstrzymać następną plagę.





CZĘŚĆ PIERWSZA

# MUMIFIKACJA





# 1

Teraźniejszość

Kair, Egipt

28 maja, godzina 11.32 czasu miejscowego

Po nerwowym zachowaniu koronera Derek Rankin poznał, że coś jest nie w porządku.

Doktor Badawi lekko się uklonił i wskazał ręką drzwi windy.

– Proszę ze mną.

Gdy ich prowadził, Derek zerknął na swoje dwie towarzyszki, niepewny, jak poradzą sobie na ostatnich etapach tej ponurej podróży. Starsza z nich, Safia al-Maaz, była o głowę wyższa od swojej koleżanki z pracy, Jane McCabe. Przylecieli tu dziś rano z Londynu prywatnym odrzutowcem; gdy tylko wylądowali na lotnisku w Kairze, błyskawicznie przewieziono ich do miejskiego prosektorium, nijakiego kompleksu niebieskich budynków o rzut kamieniem od Nilu.

Gdy szli za lekarzem, Safia opiekuńczo, po matczynemu obejmowała swoją dwudziestojednoletnią koleżankę.

Derek podchwycił jej spojrzenie i popatrzył na nią tak, jakby pytał, czy Jane to zniesie.

Safia odetchnęła głęboko i skinęła głową. Była jego szefową, starszym kustoszem w Muzeum Brytyjskim. Zaczął tam pracę cztery lata temu na skromnym stanowisku asystenta. Był bioarcheologiem koncentrującym się na badaniu stanu zdrowia ludzi w przeszłości. Na

podstawie uzębienia, szkieletów i szczątków tkanki próbował dokonać bardziej kompleksowej oceny kondycji fizycznej starożytnych; czasami nawet udawało mu się ustalić przyczynę śmierci. Wcześniej, jako pracownik naukowo-dydaktyczny University College London, zajmował się epidemiami, łącznie z czarną śmiercią w Europie, a także klęską wielkiego głodu w Irlandii.

W ramach obecnego projektu prowadzonego w Muzeum Brytyjskim badał mumie znalezione na terenach wokół szóstej katarakty Nilu w Sudanie, gdzie budowano nową zaporę. W tej pustynnej strefie nieczęsto prowadzono badania naukowe, ale podczas budowy tamy Sudańskie Towarzystwo Archeologiczne zwróciło się do Muzeum Brytyjskiego z prośbą o pomoc w ratowaniu archeologicznych skarbów, zanim nadrzeczne tereny zostaną zalane. W ciągu kilku ostatnich miesięcy udało się ocalić wiele zabytków, łącznie ze złożoną z trzystu dziewięćdziesięciu bloków małą nubijską piramidą, którą rozłożono i przeniesiono w bezpieczne miejsce.

Do Kairu sprowadził ich właśnie ten projekt, przez wielu uważany za przeklęty, odkąd dwa lata temu szef ekspedycji wraz z całym zespołem badawczym zaginął bez śladu. Po miesiącach poszukiwań uznano, że przyczyną zaginięcia grupy były działania przestępcze, które w tym regionie nasiliły się w wyniku niepokojów politycznych po Arabskiej Wiośnie. Wprawdzie połowę zespołu stanowili Sudańczycy, ale dla cudzoziemców zapuszczanie się na odludzia, gdzie rządzą bandyci i rebelianci, było skrajnie niebezpieczne. Brano pod uwagę akt terrorystyczny, chociaż żadne ugrupowanie nie przyznało się do niego; nikt nie wysunął żądań okupu.

Ta strata wstrząsnęła całym muzeum. Szef zespołu, profesor Harold McCabe, z powodu trudnego charakteru może nie cieszył się sympatią, ale był szanowanym archeologiem. Derek postanowił wziąć udział w projekcie ratowania zabytków właśnie przez wzgląd na zaangażowanie McCabe'a. Profesor był jego wykładowcą i mentorem podczas pierwszych lat pracy w University College London, a nawet pomógł mu uzyskać stypendium.

Tak więc śmierć tego człowieka głęboko nim wstrząsnęła – chociaż nie tak głęboko jak najmłodszym członkiem ich grupy.

Gdy wsiedli do windy, Derek przyglądał się Jane McCabe. Dziewczyna stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, z nieobecnyim spojrzeniem. Była córką profesora. Derek zauważył kropelki potu na jej czole i nad górną wargą. Dzień był gorący i klimatyzacja w prosektorium w niewielkim stopniu łagodziła upał, ale Derek przypuszczał, że pot jest skutkiem nie tyle temperatury, ile strachu na myśl o czekającym ją zadaniu.

Safia dotknęła łokcia dziewczyny, zanim drzwi windy się zamknęły.

– Jane, możesz poczekać tutaj. Znałam twojego ojca na tyle dobrze, że mogę go zidentyfikować.

Derek pokiwał głową na znak, że się z nią zgadza, i przytrzymał zamykające się drzwi.

Spojrzenie Jane stwardniało.

– Muszę to zrobić – rzuciła. – Po dwóch latach niepewności... czekania na wiadomości o losie ojca i brata... nie mam zamiaru... – Głos jej się załamał, co chyba tylko ją zirytowało. Jej starszy brat, Rory, towarzyszył ojcu podczas ekspedycji i zniknął wraz z pozostałymi, zostawiając ją samą na świecie. Matka zmarła sześć lat temu po długiej walce z rakiem jajników.

Jane strąciła z ramienia rękę Dereka i drzwi kabiny się zamknęły.

Safia cicho westchnęła, wyraźnie godząc się z decyzją dziewczyny.

Derek nie spodziewał się po córce profesora innej reakcji. Była bardzo podobna do ojca: uparta, samowolna i genialna. Znał ją tak długo, jak jej ojca. Kiedy się poznali, miała szesnaście lat i już studiowała na UCL. W wieku dziewiętnastu lat zrobiła doktorat z antropologii i obecnie uczestniczyła w programie podoktoranckim, zdecydowana pójść w ślady ojca.

Co, niestety, w końcu doprowadziło ją tutaj.

Gdy winda zjeżdżała, Derek przyglądał się kobietom. Łączyło je zamiłowanie do historii starożytnej, ale nie mogłyby bardziej się róż-

nić. Safia miała skórę w kolorze jasnej mokki i długie ciemne włosy wskazujące na bliskowschodnie pochodzenie. Była skromnie ubrana, w ciemne spodnie i jasnoniebieską bluzkę z długimi rękawami; na głowę luźno zarzuciła chustę. Mówiła łagodnym głosem i wykazywała się niezwykłym spokojem, mimo to z łatwością potrafiła przykuć uwagę. W zielonych jak szmaragdy oczach miała coś, co w razie potrzeby mogło wymusić bezwzględne posłuszeństwo.

Jane natomiast była bardzo podobna do swojego ojca, Szkota. Miała ognicie rude włosy, ścięte po męsku, i równie ognisty temperament. Derek słyszał opowieści o tym, jak roztawiała po kątach studentów, a czasami nawet wykładowców, gdy się z nią nie zgadzali. W oczywisty sposób była nieodrodną córką ojca, chociaż po latach spędzonych pod pustynnym słońcem Harold McCabe miał pomarszczoną, ogorzałą twarz, podczas gdy gładka cera Jane, która prześadywała w uniwersyteckich bibliotekach, była wyjątkowo biała. Drobne piegii na nosie i policzkach dodawały jej dziewczęcego uroku, co wiele osób błędnie brało za naiwność.

Derek wiedział swoje.

Winda się zatrzymała. Gdy drzwi się otworzyły, do kabiny wpłynął gryzący zapach wybielacza, który niezupełnie maskował woń rozkładu. Doktor Badawi, w długim do kolan białym fartuchu laboratoryjnym, poprowadził ich korytarzem o pobielonych wapnem betonowych ścianach, z podniszczonym linoleum na podłodze. Szedł pospiesznie – wyraźnie chciał załatwić tę sprawę jak najszybciej – widać było, że coś go martwi.

Na końcu korytarza rozchylił grubą foliową zasłonę i wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Derek i jego towarzyszki podążyli za nim. Pośrodku stał stół ze stali nierdzewnej, na którym pod wykrochmalonym prześcieradłem leżały zwłoki.

Jane upierała się, żeby tu przyjść, ale teraz przystanęła niepewnie tuż za progiem. Safia z nią została, a Derek podszedł za koronerem do stołu. Usłyszał, jak dziewczyna niewyraźnie mówi, że nic jej nie jest.

Badawi zerknął na kobiety, nerwowo stukając w stalową wagę wiszącą obok stołu.

– Wydaje mi się, że pan powinien zobaczyć pierwszy – szepnął. – Może nie wypada, żeby panie przebywały tu w tej chwili.

Jane go usłyszała i natychmiast zareagowała na zawoalowaną mizoginię.

– Nie. – Podeszła z Safią do stołu. – Muszę wiedzieć, czy to na pewno mój ojciec.

Derek z jej miny wyczytał coś więcej. Po latach niepewności i złudnych nadziei chciała odpowiedzi, wyjaśnienia. Ale przede wszystkim chciała pozwolić odejść duchowi ojca.

– Miejmy to już za sobą – ponagliła ich Safia.

Badawi lekko skłonił głowę i podniósł prześcieradło, odsłaniając głowę i nagi tors.

Derek wciągnął ze świstem powietrze i cofnął się o krok. Jego pierwszą reakcją było zaprzeczenie. To nie może być Harold McCabe. Ciało przywodziło na myśl szczątki wykopane z piasków, w których spoczywały przez stulecia. Skóra na twarzy i żebrach wyglądała jak zassana od środka. Co dziwniejsze, miała kolor ciemnego orzecha ze lśniącą powierzchnią, jakby została polakierowana. Po chwilowym szoku zwrócił uwagę na siwiejące rude włosy, na taki sam zarost na brodzie i policzkach i zdał sobie sprawę, że to profesor.

Jane też go rozpoznała.

– Tato...

Derek się obejrzał. Rozpacz i cierpienie wykrzywiały rysy dziewczyny. Odwróciła się i przytuliła do Safii. Ta była niemal tak samo zrozpaczona jak ona. Znała Harolda McCabe'a znacznie dłużej niż Derek. Ale oprócz bólu dostrzegł zmarszczkę na jej czole znamionującą zaskoczenie.

Wiedział, co ją tak zdziwiło.

– Myślałem, że profesor McCabe żył, gdy odnaleziono go dziesięć dni temu – zwrócił się do koronera.

Badawi przytaknął ruchem głowy.



– Znalazła go rodzina nomadów, gdy brnął przez pustynię, jakiś kilometr od miasteczka Rufaa. – Spojrzał ze współczuciem na Jane. – Zabrali go tam na wózku, ale umarł w drodze, zanim otrzymał jakąkolwiek pomoc medyczną.

– To nie ma sensu – rzuciła Safia. – Zwłoki wyglądają tak, jakby zgon nastąpił znacznie wcześniej.

Derek w duchu przyznał jej rację. Skierował uwagę z powrotem na stół, zaintrygowany kolejną zagadką.

– Mówi pan, że ciało przywieziono tu ciężarówką dwa dni temu i że nikt go nie balsamował, tylko owinięto je w folię. Czy to była ciężarówka chłodnia?

– Nie, ale zwłoki zostały umieszczone w chłodni natychmiast po dostarczeniu do kostnicy.

– Osiem dni w wysokiej temperaturze... – Derek spojrział na Safię – a nie widzę wielu śladów rozkładu. Ani znaczącego wzdęcia, ani pęknięć skóry. Zwłoki wyglądają niemal na zakonserwowane.

Jedynym uszkodzeniem było nacięcie w kształcie litery Y, zrobione podczas autopsji. W drodze z Londynu Derek przeczytał raport koronera. Nie stwierdzono przyczyny śmierci, ale najbardziej prawdopodobne wydawało się odwodnienie połączone z oddziaływaniem słońca i upału. Co niewiele mówiło o wcześniejszych losach profesora.

Gdzie był przez cały ten czas?

Safię nurtowało to samo pytanie.

– Czy ta rodzina nomadów udzieliła jeszcze jakichś informacji? – zapytała. – Czy profesor wyjaśnił im, gdzie przebywał, zanim znaleźli go na pustyni? Powiedział coś o losie swojego syna i innych członków ekspedycji?

Badawi spuścił wzrok, gdy jej odpowiadał.

– Nic, co miałoby sens. Był osłabiony i majaczył, a ludzie, na których się natknął, znają tylko sudański dialekt arabskiego.

– Mój ojciec biegle władał wieloma arabskimi dialektami – wtrąciła Jane.